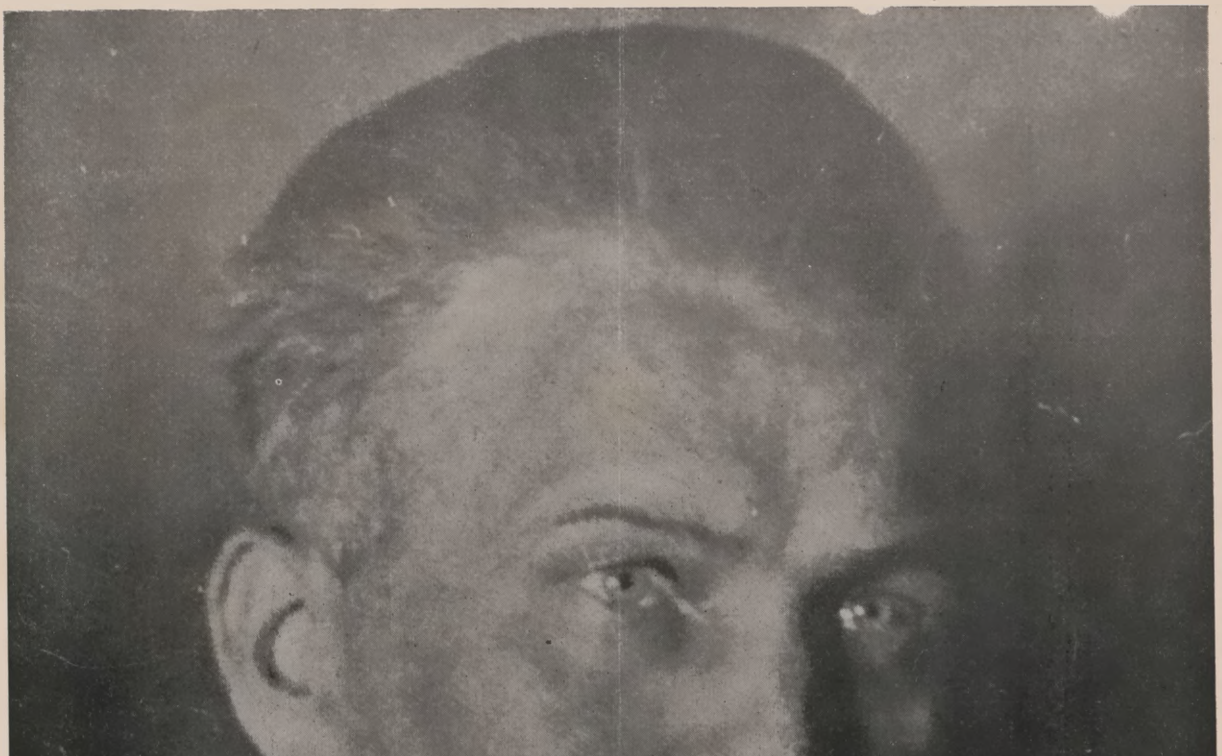
TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:

Vol. 3. Nr. 39 (144) Nowy Jork, 7 pazdziernika — New York, 21, N. Y., October 7th, 1945. Cena 20 ct.



Generał Leopold Okulicki, ostatni Wódz Polskiej Armji Krajowej skazany bezprawnie przez sąd sowiecki na 10 lat więzienia i dotąd więziony ku hańbie cywilizowanego świata.

JAN WOLNY

CISZA NAD POLSKĄ

Gdy mocarstwa anglosaskie ostrzegły rząd bułgarski — bliźniaczo podobny do warszawskiego — że nie zawrą z nim traktatu pokojowego, o ile nie przeprowadzi demokratycznych wyborów, rząd ten cofnął w ostatniej chwili rozpisany już termin wyborów i poszedł na pewne ustępstwa wobec opozycji. Uzyskała ona legalną podstawę egzystencji i prawo do otwartej obrony swobód demokratycznych. To jest bardzo niewiele skoro nic się nie zmieniło w samej administracji bułgarskiej, ale to jest jednak coś.

W Rumunji te same mocarstwa, operując tą samą bronią ewentualnej odmowy podpisania traktatu pokojowego, stanęły no stanowisku konieczności stworzenia rządu bardziej reprezentacyjnego od narzuconego przez Moskwę rządu Grozy. Krok ten nie dał bezpośrednio pozytywnych rezultatów. Niemniej umożliwił on temu samemu rządowi rumuńskiemu złagodzenia ciężkich warunków zawieszenia broni. Dla utrzymania przy władzy rumuńskiego Bieruta, Moskwa w pewnym przynajmniej stopniu ułatwiła życie jego krajowi Może mniej ludzi umrze tej zimy z głodu w Rumunji, która jeszcze rok temu tonęła w zbożu i mięsie. To znowu jest niewiele, ale to także jest coś, a byłoby nawet więcej, gdyby to nie miał być koniec sprawy.

W Austrji mocarstwa anglosaskie dotąd nie uznały mianowanego przez Moskwę rządu Rennera, pomimo że w porównaniu z ludźmi, którzy rządzą w Sofji, Bukareszcie, czy Warszawie, ma on za sobą pewne poparcie ludności, i mimo że Renner pokazał zęby Rosji, gdy chciała ona zagrabić naftę austrjacką. Król Piotr ma jeszcze jakiś tytuł do zabierania głosu w w sprawach Jugosławji i jest jeszcze wysłuchiwany przez ministrów anglosaskich. Granice Jugosławji i kredyty dla niej zależą nietylko od rozgrywki mocarstw z Rosją, ale od zachowania się samego rządu Tita, im więcej zajdzie on za skórę anglosasom, tem mniej ma szans na prezenty terytorialne i finansowe. Ostatnie uznanie przez Amerykę rządu węgierskiego ma ten sam cel, co polityka jej w Bułgarji i Rumunji. a mianowicie podtrzymanie na Węgrzeeh niekomunistycznych elementów w rządzie, które dotąd są na opiece boskiej. Wreszcie niema dotąd mowy o uznaniu czerwonego rządu w Albanji.

W Finlandji sytuacja jest inna i lepsza, ponieważ rząd sowiecki prowadzi politykę wobec Finnów według innego klucza, niż w Polsce i na Bałkanach. Dzięki różnym przyczynom, Czesi — choć nie Słowacy — mają względną swobodę ruchów wobec Rosji, a rząd Fierlingera posiada poparcie znacznej części ludności; wreszcie w Zachodnich Czechach wciąż stoi armja Pattona.

Skonfrontujmy to bardzo ogólnikowe dane. W Finlandji i w Czechach jest źle, ale na tyle normalnie, na ile być może w krajach pod kontrolą i okupacją sowiecką. W pięciu czy sześciu innych krajach Europy Środkowej jest bardzo źle i pod zimę coraz gorzej, ale wobec przebłysków aktywności politycznej Ameryki i W. Brytanji powstała tam nadzieja, że może być lepiej. Po dłuższym okresie desperacji, społeczeństwa tamtejsze dostrzegły, że może być jeszcze jakaś deska ratunku i liczą contra spem, że ta deska nie pozwoli im utonąć. Pozatem, z niektórych z tych krajów nadchodzą informacje typu politycznego. Kto czyta gazety, wie, co się dzieje w Bułgarji i nawet zna nazwiska przywódców opozycji; wie także, że jugosłowiański minister spraw zagranicznych jest internowany w domu, a że demokatyczny wicepremjer, odpowiednik Mikołajczyka, wystąpił z rządu i walczy o swobodę wyborów; że król rumuński nie podpisuje dekretów rządu Grozy; a nawet że Benesz ma wyżej uszu komunistycznej swawoli i także nie daje zgody na harce kosztem swobody i mienia obywateli. Wszystko to razem jest bardzo mało i grubo poniżej Karty Atlantyku, czy innych haseł minionej epoki z przed Jałty i Poczdamu. A mimo to jest to coś uchwytnego, może zawodnego — omówimy to niżej — ale pozwalającego na utrzymanie w świadomości przeciętnego obywatela Stanów czy Anglji faktu, że w Europie Środkowej dzieją się rzeczy złe, urągające najskromniejszym wymaganiom demokracji i moralności międzynarodowej, a zarazem, że odbywa się tam samoobrona społeczeństw przeciw komunistycznym uzurptorom.

W POPRZEDNIM 38 (143) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Kazimierz Wierzyński: A więc stało się; Generał Eisenhower w Warszawie; Zygmunt Klingsland: Leninowsko-Stalinowska formuła demokracji; Romuald Gantkowski: Ten stary wciąż się rozwija; Złote karty polskiego piśmiennictwa, Stanisław Wyspiański: Wesele; Anonimowy autor z Polski: Apel; Tymon Terlecki: O Marji Pawlikowskiej; Kronika Polsko-Amerykańska; Opinje i Zdarzenia.

Z Polską jest inaczej. Jedną jedyną Polską rządy anglosaskie się nie interesują. Imię jej znikło od miesięcy z komunikatów rządowych. Opinja publiczna Ameryki nie ma zapewne w swej większości złudzeń, że rząd warszawski jest czemś więcej, niż narzędziem Moskwy, ale w dokumentach oficjalnych i enuncjacjach mężów stanu napróżno szukać byłoby śladu zdawania sobie sprawy, że rząd warszawski nie jest reprezentacją Polaków. Byli ambasador Rzeczypospolitej i jego różnoracy pomocnicy nie mają głosu, bo im go odebrano w momencie politycznego samobiczowania. Pustki, powstałej po ich zejściu z areny publicznej, nic zapełnią ich niegodni formalni następcy, chociażby dlatego, że nie mają, nie mogą mieć i nie będą mieli minimum kredytu moralnego w społeczeństwie amerykańskim. Niedawni ulubieńcy oficjalnego Londynu, a za nim w mniejszym stopniu Waszyngtonu, Stańczyk, Kot i inni, znikli z łam prasy po odegraniu roli, którą historja wyraźnie określi. Nawet wedeta tego kalibru co Mikołajczyk została zapomniana. Dlaczego o nich się nie mówi! Czy dlatego, że zawiedli oczekiwanie, które w nich pokładano, skoro w Polsce nic nie mają do po-

wiedzenia? Ale kto miał co do tego wątpliwości w warunkach misji Hopkinsa i procesu szesnastu?

Tak więc pierwsi Polacy nie mogą mówić w imieniu Polski, bo nie chcieli być marjonetkomi sowieckiemi, drudzy dlatego właśnie, że są tylko marjonetkami, trzeci dlatego, że nie mogli drugich okiełznać. Gdzie są Polacy, którzy mają prawo do głosu w imieniu ich kraju? Przypuśćmy, że zgodnie ze znaną nam od 18go wieku tezą, made in Berlin, ale podjętą teraz nanowo przez wręcz antyberlińskie koła, Polacy często robią błędy polityczne. Ale czy, jak w Sodomie i Gomorze, niema wśród nich choćby kilku sprawiedliwych? Czy jest do zrozumienia dla myślącego człowieka, że ze stu narodów świata jeden tylko, jeden jedyny, po raz pierwszy po tysiącu lat historji pozostaje bez głosu?

A przecież jest bez głosu. Nietylko nikt nie mówi w imieniu Polski, nietylko nikt nie mówi o jej tragedji, ale z samej Polski nie ma dla Amerykan żadnych wiadomości. Komunikaty Polpressu idą w redakcjach wprost do kosza, bo nikt nie daje im wiary, i słusznie. Pata niema więcej. Przed miesiącem podnoszono z satysfakcją, że trzej korespondenci głównych agencji prasowych jadą do Warszawy. Przyjechali i donieśli, że w nocy w Warszawie strzelają po ulicach i że ceny towarów są absurdalnie drogie. Połowa gazet nie podała tych raczej feljetonowych wiadomości, i na tem narazie się skończyło. O sytuacji politycznej, społecznej, gospodarczej w Polsce nikt nie donosi Amerykanom nic, o rządzie nic, o działalności partji politycznych, komunistów i nie komunistów nic, o okupacji przez armję czerwoną nic, o armji "polskiej" nic. Nic o aprowizacji, nic o perspektywach zimy, nic o wyborach, nic o repatrjacji, nic o grabieży przez oficjalną Rosję, nic o rezultatach rewolucji agrarnej, nic o czołowych ludziach z obu walczących z sobą w rządzie i poza nim obozów krajowych. Nic o niczem — oto stan informacji o Polsce dla Amerykan. A najbliższa przyszłość? Jeżeli korespondenci zagraniczni nie będą umieli urządzić się w Polsce z omnięciem obecnego systemu obdzierania ich ze skóry przez kurs złotego w stosunku do dolara, to żadna agencja nie będzie dostatecznie bogata, aby ich w Polsce utrzymać ad majorem gloriam moskiewskiego komisarjatu finansów, który im te sztuczki płata, bo zawiaduje temi sprawami w Polsce. A jeśli potrafią oni tę trudność ominąć, to jakie wiadomości z Polski przejdą przez ucho igielne bierutowskiej, sprowadzanej z Moskwy cenzury? Przecież do dziś dnia nikt nie powiedział, w żadnej gazecie amerykańskiej, że wogóle w Polsce jest cenzura dla korespondentów zagranicznych, przecież do dziś dnia ludzie dobrej woli mogą myśleć, że jej niema.

Niejeden z Polaków, gdy myśli o tej sytuacji, traci równowagę i zaczyna przypuszczać, że ktoś zadekretował, — w Ameryce, Anglji i gdzieindziej — że o Polsce ma się nie pisać, aby o niej nie mówiono, — bo niemożliwa im się wydaje i niezrozumiała inaczej ta solidarność prasy i radja krajów demokratycznych w utrzymaniu ciszy nad Polską. Tej ciszy, która jej krajowym i zagranicznym oprawcom pozwala na spokojne i systematyczne wykonywanie operacji odwracania tysiąca lat historji i kultury polskiej. Są tacy, którzy myślą, że ta konspiracja milczenia jest przez kogoś dyrygowana.

Jest w tem tylko część racji. Warszawa rozsyła komunikaty prasowe, ale nie martwi się, jeśli o Polsce wogóle nikt i nic nie mówi. Kraje szczęśliwe nie mają historji, a więc — sofistycznie — jeśli o jakimś kraju nic się nie mówi, to jest to kraj Osubki, ich mocodawców w Moskwie, ich agentów i popleczników zagranicą. Stosując sławne powiedzenie z przed ćwierć wieku, zdają się oni mówić: ciszej nad tą trumną.

To zresztą nie wszystko. Ujawnienie prawdy o Polsce, które musiałoby wzbudzić jakieś minimum publicznego zainteresowania w krajach Zachodu i oburzenia na masowy gwałt na ciałach i duszach Polaków, byłoby przez niektóre czynniki uważane za będące pośrednio w sprzeczności z zasadą utrzymania solidarności między wielkimi aljantami i z tezą współpracy "Zjednoczonych Narodów". Są bowiem tacy, którzy jeszcze obstają, kosztem połowy Europy, przy hasłach, sformułowanych pół roku temu, a już aktualnych na poziomie zeszłorocznego śniegu. Jest także zrozumiałe, że przy tempie w jakiem naród amerykański dąży do wycofywania swoich synów w mundurach ze wszystkich punktów globu i rozbraja w ten sposób dyplomację amerykańską z niezastąpionej broni nacisku międzynarodowego, nikt pro-



— Grand Dieu! la Vérité! ne la laissons pas passer, nous serions perdus!

Wielki Boże! Prawda! Nie przepuśćmy jej — bo będziemy zgubieni. — Rysunek francuski z roku 1863.

wadzący politykę amerykańską nie będzie obarczał jej dodatkową odpowiedzialnością za sytuację w oddalonym kraju, odpowiedzialnością, która nie może być, albo może nie być skutecznie podjęta. Ale, naszem zdaniem, dotyczy to interwencji politycznej zagranicą, nie zaś informacji politycznej o zagranicy. W samym interesie demokracji zachodnich leży wyjście z zaklętego koła milczenia o Polsce, jedynie tylko o Polsce.

Wróćmy tutaj do początku naszego artykułu. Kroki dyplomacji anglosaskiej na Bałkanach obudziły tam nadzieje na lepszy obrót spraw i zachęciły żywioły demokratyczne do wzmożonego oporu przeciw komunizowaniu ich krajów i postępującemu konsumowaniu ich bogactw materjalnych i ludzkich przez Rosję. Ludzie wyprostowali niewolniczo schylone karki, wyszli z kamuflażu schlebiania władzom, ujawnili nazewnątrz ukrytą opozycję, powiedzieli co myślą i natchnęli się otuchą. Tak stało się miesiąc temu w Bułgarji, Rumunji i gdzieindziej. Tak nie stało się w Polsce, bo nie było po temu powodu. A potem Mołotow w Londynie zastrzegł się przeciw temu wtrącaniu się do Bałkanów, i niewiadomo, co będzie dalej. Zastanówmy się, czy stało się dobrze, czy źle. Jeśli kontrofenzywa anglosaska na Bałkanach nie ma spalic na panewce, jeśli będzie dalej konsekwentnie prowadzona, to dobrze, czy raczej może dobrze. Ale jeśli to ma być słomiany ogień, jeśli ofuknięci przez wielmożę z Kremla potężni ministrowie anglosascy schowają z powrotem rogi, które tak niebacznie wysunęli, to co wtedy? Co z królem Michałem, co z Petkowem w Bułgarji, co z Grolem jugosłowiańskim, co z tymi, którzy na serjo wzięli obronę demokracji w ich krajach przez demokratyczny Zachód? Co z milionami Bogu ducha winnych ich zwolenników? Czy poniechanie przez anglosasów chwilowo zajętej w sprawach tych trzech krajów pozycji nie byłoby pretekstem i poniekąd zaproszeniem do likwidacji opozycji w tych krajach? Czy można byłoby wyobrazić sobie bardziej zasłużoną krzywdę tych, którzy jeszcze w tym roku stawiają na demokracje zachodnie? Wolno spekulować własnemi pieniędzmi na giełdzie i eksperymentować w prywatnym zakresie. Ale czy byłaby to dobra polityka dla zachodnich demokracji grać losem potencjalnych przyjaciół, ryzykując tem, że na wypadek przegranej ułatwiałoby się ostateczne zapędzenie ich do zagrody potencjalnego przeciwnika? Tak się jeszcze nie stało, ale łatwo stać się może.

Dlatego też, rozważając sprawy cudzych, ale blizkich nam duchem krajów bałkańskich, ostrożnie i tentatywnie pozwalamy sobie postawić pytanie, na które w sumieniu i rachunku naszym nie znajdujemy wyraźnej odpowiedzi, czy lepiej jest dla zainteresowanych, aby obudzano i ewentualnie narażono na kosztowny zawód ich nadzieje, czy aby tego nie robiono. Od 5 lipca, kiedy uznano rząd warszawski, nikt z Zachodu nie występował dyplomatycznie w obronie pogwałconej w Polsce demokracji. Obłudna teza, że wielcy aljanci nie mają prawa wtrącać się do interesów "alianckiej" Polski (choć mogą w pewnym zakresie do Jugosławji), wygodnie ustrzegła ich dotąd od potrzeby narażania się Rosji przez podnoszenie tego tematu. Z wyjątkiem amerykańskiej Polonji, nikt nie zauważył tego politycznego i moralnego dziwoląga. A przecież, z ręką na sercu, coby było, gdyby demokracje zachodnie ośmieliły Polaków do szerszej akcji w kierunku ograniczenia przemocy komunistów w kraju, a potem miały zwinąć tę biało-czerwoną chorągiewkę? Co za pretekst do represji! Nie, doprawdy nie wiemy, czy to byłoby dobrze. Niech czytelnik się zastanowi, niech poszuka w swem sumieniu własnej odpowiedzi na to pytanie. Nie może to być prosta odpowiedź.

Ale ta niepewność nie dotyczy przedwstępnego niejako tematu informacji z Polski i o Polsce. Tak jak jest, nadal być nie może. Polska nie leży na innej planecie, z którą nima komunikacji. Tysiące patrjotycznych Polaków rozrzuconych jest po wolnym świecie. Muszą oni wykonać swój elementarny obowiązek wobec kraju, muszą przekonać innych, że to nie tylko polski obowiązek i nie tylko polski interes. Niema generalnej konspiracji milczenia o Polsce, choć są czynniki, którym na tem zależy. Pas milczenia, który izoluje świat od Polski, jest także naszą winą, bo nie umiemy go rozwiązać, a nawet rozluźnić. Jeśli tego nie zrobimy, to za rok tyle będzie wiadomo na świecie o Polsce, co o Kazakstanie.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
at
TYGODNIK POLSKI
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly $4.80 Yearly $9.50

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"



Scena z "Zemsty" Fredry w wykonaniu Teatru 2go Korpusu. Od lewej: pp. Wanda Baczyńska (Klara), Klara Belska (Podstolina), Zbigniew Łobodziński (Wacław)

WACŁAW ŚLEDZIŃSKI

CZYTELNICY BEZ KSIĄŻEK

Ci co przyjeżdżają z Polski mówią, że książka jest dzisiaj w cenie chleba: tak samo jest poszukiwana i tak samo trudno o nią. Pani Zofja Kossak-Szczucka wspomniała w pogadance dla Pen Clubu londyńskiego, że w pierwszych straganach urządzonych na ruinach Warszawy pojawiły się, obok żywności — książki. Ludzie chcą czytać. Rzucają się na książki. Podobno nigdy jeszcze książka nie była w Polsce tak czytana jak obecnie. Młody człowiek, który przyjechał tu w jakiejś misji politycznej powiedział mi: oni nie czytają, oni żrą książki.

Wpadło mi do ręki osobliwe wydawnictwo przywiezione z Krakowa. Zbiorek wierszy Kazimierza Wierzyńskiego. Odbity na hektografie, z ręczną korektą i ze znakomitą uwagą na kartce tytułowej: *"Nie brudź! Oddaj sąsiadowi!"* Zbiorek wyszedł ostatnio, w Polsce obecnej. Taką techniką na jaką ich stać. Techniką zapożyczoną z doświadczeń okupacji niemieckiej, szybką i praktyczną. Mniejsza z tem czy to wydawnictwo jest tajne czy nie. Wysłannicy z kraju mówią, że bardzo często spotyka się książki odbijane na powielaczach, a nawet pisane przez kalkę na maszynie. Taką formę wydawniczą stosuje się najczęściej do poezji, a w szczególności do pisarzy ktorzy są na emigracji.

Ale nietylko w kraju Polacy "żrą" książki. Napierwsze zapotrzebowania obozów polskich w Niemczech były na lekarstwa, żywność i książki. Nigdy tych książek nie było pod dostatkiem. A zresztą do dziś są obozy do których nie dotarła ani jedna książka, ani jedna gazeta polska. Tam, w tych obozach, również są powielane tomiki wierszy i przepisywane na maszynach całe tomiska. Nawet nędzny grafoman, który wypoci jakąś książczynę, nie wie z jakim szacunkiem, z jakim pietyzmem przechodzi z rąk do rąk jego licha poezja czy licha proza. Ludzie chcą czytać, chorują na czytanie.

Polacy nie mogą żyć bez czytania, bez polskiej książki i polskiego pisma. Tak jak przed wojną mieli wstręt do cztania, teraz wpadli w nałóg. W dobry nałóg. W żadnej księgarni w Warszawie nie widziałem nigdy takich tłumów, jakie teraz spotyka się w księgarniach polskich w Szkocji. Tak samo żadna biljoteka w kraju nie marzyła o podobnej frekwencji, jaką wykazują wypożyczalnie książek polskich w Wielkiej Brytanji.

Tymczasem książek brakuje. Poprostu brakuje. Nie ma ich. I w kraju i na emigracji. I nie wiele jest szans, aby książki polskie posypały się nagle z jakiegoś rogu obfitości wydawniczej. Przeciwnie, zanosi się na to, że książek będzie coraz mniej. Ze systematycznie będzie się zwiększał głód książki. No i chyba zanosi się jeszcze na to, że będziemy mieli coraz więcej książek odbijanych na ręcznych powielaczach, przepisywanych na maszynie, a może nawet przepisywanych ręcznie..

To samo z prasą. Podczas okupacji niemieckiej, kraj był zalany tajnemi pismami robionemi na różnych Roneach i Gestetnerach. Przyzwyczaił się do takich druków i bynajmniej nie zaniechał tego obecnie. Rownież na emigracji mieliśmy i mamy pisemka powielane. Są w Wielkiej Brytanji, ale są również w Szwajcarji, w Niemczech, w Afryce. Może tylko w Ameryce nie ma. Wynaleziono bombę atomową, ale w dziedzinie druku cofnęliśmy się do czasów sprzed Gutenberga.

Z prasy wydawanej w Polsce, wydawanej pod cenzurą sowiecką, wynika, że zamiary wydawnicze są duże i ambitne. Tworzą się zrzeszenia pisarzy i powstają firmy wydawnicze. Pani Kossak wspomniała o wskrzeszeniu Gebethnera i Wolffa, Arcta, Książnicy Atlas, Swiętego Wojciecha. Jednak, jak można sądzić z tonu pism krajowych, literatura polska ma służyć nowej rzeczywistości, ma ja podmurować.

Tylko głupiec może sobie podkpiwać z wysiłków wydawniczych kraju, jak też tylko ślepiec może nie dostrzec straszliwych bezdroży na jakie wkracza z krzykiem i hałasem dzisiejsza literatura, grzmiąca wszem wobec, że wnosi nowego ducha, że tworzy nowy kierunek. Na sierpniowych obradach literatów warszawskich stwierdzono ze zgrozą że w Polsce nie ukazała sie dotąd ani jedna książka beletrystyczna, a pismo "Radjo i Swiat' nazwało ten fakt skandalem. To jednak nie jest żadnym skandalem. To tylko fakt, że w kraju nie powstała żadna nowa powieść *nadająca się do druku;* nadająca się — to znaczy taka, ktora mogła otrzymać na rękopisie stempelek (niekoniecznie w polskim języku) "wolno drukować — nie zauważono znamion faszystowskich". Albo, która dlatego nie powstała, że kraj nie ma narazie technicznych możliwości druku. Sprawą trącącą o skandal jest natomiast co innego: jest literatura, ta właśnie o nowym duchu i nowym kierunku, jaką znajdujemy w dodatkach literackich niektórych pism krajowych.

Np. organ Stronnictwa Ludowego "Zielony Sztandar" drukuje dzieło literackie p. Władysława Kowalskiego pt. "Nurty". Weźmy nr. 32 tego pisma i przypatrzmy się, jakież to nurty mamy w literaturze nowej rzeczywistości polskiej. Posłuchajmy... *"jakto Jantocek Gruchalankę przyparł do siebie. Dopiero ii te cyce wygniecie".* Mniejsza z temi "cycami": ważniejsze są proroctwa z tej samej literatury, jakie czytamy na początku "Nurtów". Oto one: *"Będą się dziwki kurwić! — dociekała Matusowa. — Będą się kurwić!"* I tak dalej, wszystko w tym stylu, w tym sosie i w tym zapachu.

Ano ano!

Jeżeli ów nowy duch i owe nowe kierunki, prądy czy nurty osiądą mocno na nowej rzeczywistości polskiej, to wątpliwe czy w kraju znajdzie się miejsce na literaturę czystą, na taką jaką przywykliśmy nazywać literą piękną. Może zresztą my nie wiemy jeszcze czy literatura piękna nie jest przeżytkiem burżuazyjno-faszystowskim albo sanacyjnym?

Ale dobrze wiemy, że plany i zamiary, szczególnie jeśli chodzi o poetów i innych pięknoduchów, niezawsze są budowane na twardym gruncie, na ziemi. W kraju istnieje przeszkoda, ktora przez długie jeszcze lata będzie krzyżowała wszelkie szersze zamysły wydawnicze. Przeszkoda wielka, niezależna nawet od nowych "nurtów" ani od warunków politycznych, w jakie zapędziło Polskę olśniewające zwycięstwo nad faszyzmami i imparjalizmami. Otóż w kraju nie ma drukarń. Pozostały zaledwie nieliczne zakłady. Niemal cały polski przemysł poligraficzny został zniszczony przez Niemców, maszyny wywiezione, centrum tego przemysłu — Warszawa jest kompletnie starte. Obliczałem kiedyś, jako kierownik odbudowy drukarstwa w Polsce (referat w Min. Przemysłu i Handlu w Londynie), że do odrodzenia drukarstwa w Polsce potrzebujemy przynajmniej 8 lat ogromnej pracy, wiele miljonów funtów i dużej pomocy w maszynach ze strony Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych.

Bez możliwości druku trudno mówić o jakiejś większej akcji wydawniczej. Nie można mówić o rozdawaniu chleba, jeżeli przedtem nie będa funkcjonowały piekarnie; będzie mowa o chlebie, ale nie będzie chleba. Zresztą, drukarnie w Polsce nie mają żadnej samodzielności, są całkowicie

w rękach ludzi którzy skolei są całkowicie w rękach Moskwy. Jakże można wierzyć w realność jakichkolwiek uczciwych programów wydawniczych tam, gdzie wolność słowa jest przestępstwem, gdzie polska czcionka drukarska jest zaledwie tolerowana w rosyjskiej kaszcie.

Zadna zwycięska wojna nie skończyła się dla nas tak potworną klęską, jak ostatnia. Tak samo kulturze polskiej nigdy chyba nie groziło tak śmiertelne niebezpieczeństwo, jak to się dzieje obecnie.

Dochodzimy teraz do zagadnienia dużej wagi: rola emigracji. Rola ta, bez żadnego patosu, bez żadnej przesady — jest ogromna. Ogromne jest przeznaczenie emigracji. Nie ważne jest to, gdy pani Kossak-Szczucha, uroczy agent najświeższego pozytywizmu idzie bez oręża w tłum emigracyjny z hasłem: módl się i wracaj; nie ważne jest to, gdy inny przedstawiciel nowej rzeczywistości głosi, że ci co nie wrócą będą wyklęci, kraj zapomni o nich; nie ważne jest to, gdy funkcjonarjusze nowych ambasad czy emigracyjni entuzjaści "Polski takiej jaką mamy" wypalaja nam na czołach słowo "zdrajca". Ważne jest jedynie to, że jesteśmy potrzebni Polsce, że mamy służyć sprawie polskiej najlepiej i najuczciwiej. Walczyć ze złym rządem — jest zasługą; zasługiwać się dla złej sprawy — jest zdradą.

To nieprawda, że kraj wyrzeka się emigracji. Więzień nie może mówić swobodnie. Polska jest biednym więźniem; w jej imieniu przemawiają prokuratorzy i "adwokaci z urzędu" — źli adwokaci.

Kraj patrzy na emigrację, wysłuchuje głosu emigracji. Kraj wierzy w emigrację, wierzy tak samo jak wierzył za czasów okupacji niemieckiej. Urzędowo, na dobrym papierze,wychodzą wiersze o czerwonym Krakowie i o przyjaźni z czerwoną armją. Ale nieurzędowo, na powielaczu wychodzą wiersze Wierzyńskiego napisane na emigracji; pierwsze są kolportowane, drugie czytane.

Dziś, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, emigracja jest krajowi potrzebna. I, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, na emigrację — twórczą emigrację — spada wielka, ogromna, historyczna misja. Tak, tu już nie chodzi o pracę, o działalność: chodzi właśnie o misję. Inne, zupełnie inne jest dzisiaj przeznaczenie literatury polskiej na emigracji, niż było w czasie naszych złudzeń gdy pokonanie Niemiec kojarzyliśmy automatycznie z wolnością dla Polski. gdy czuliśmy się jak człowiek który schroniwszy się w polu pod drzewem, oczekuje przejścia burzy. Emigracyjna twórczość literacka musi sprostać zadaniom jakie postawił przed nią czas. Musi to być twórczość wojująca, rewolucyjna, a nadewszystko — żyjaca. Musi istnieć. Musi istnieniem swojem wypełniać bezbrzeżną pustkę jaka powstała na gruzach tragicznych złudzeń i marzeń Polaków.

Odbudowa Polski — to przecież nietylko stawianie nowych mostów i nowych domów. Trzeba również odbudowywać literaturę — jedno z najważniejszych przęseł kultury polskiej, odbudowywać przez tworzenie.

To jest wielkie zadanie pisarzy polskich na emigracji. To jest ich misja.

A nie ma takich granic na świecie, poprzez które książka nie dotrze do swego czytelnika. Szczególnie do czytelnika, który "żre" książki.

Londyn, wrzesień, 1945.

MARJAN HEMAR

ROZMOWA Z ŻOŁNIERZEM

"I pocoście się bili?" — potrząsali głową.
A żołnierz odpowiedział: "Bośmy dali słowo.

A jesteśmy z takiego narodu, co słowa —
Choćby zdychał — nie złamie. Zczeźnie, a dochowa'

"A o coście się bili?" — A żołnierz powiedział:
"Żeby świat się nauczył, żeby o tym wiedział,

By sobie wspomniał kiedyś — może za lat tysiąc —
Że umiałem dotrzymać, com umiał poprzysiąc".

I jak tu nam tłumaczyć, co honor kupiecki,
Co kupiecki rozsądek? Co upór "szlachecki",

Gdy lepsza ustępliwość wobec konieczności,
Która słowa przekręca i podpisy mota —

Gdy jesteśmy z narodu, który myśli prościej,
Myśli: Słowo się rzekło — mogiłka u płota.

U nas — — słowo się rzekło, już my zniewoleni.
Bo myśmy barbarzyńcy a nie dżentelmeni.

Nie myśmy wynaleźli "gentleman's agreement".
U nas, jedno — rachunek, wiara i sentyment.

I każdy kto się uprze, w pole nas wywiedzie
I zobaczy w nieszczęściu i wyszydzi w biedzie.

Ha, wywiedli nas w pole, w pole gorzkiej chwały,
A nie wiedzą, że większa dla nich samych strata -

Te ręce, które dla nas mogiły kopały.
Pogrzebały w mogile wszystek honor świata.

Słowo niedotrzymane — strzęp marnego świstka.
Pociecha dla nas—mała. Duma dla nas—wszystka.

ANONIMOWY AUTOR Z POLSKI

APEL

(Ciąg dalszy)

Sztubowy, widząc skierowane ku sobie spojrzenie towarzyszy, zaryzykował:

— Może go z apelu zwolnić? — spytał lękliwie.

Untercapo zwrócił ku niemu swoją pociągłą twarz, ścienioną sinawym zarostem bruneta. Wulgarne, choć bardzo regularne rysy nadawały tej twarzy niepokojącą, pochmurną urodę. Sztubowy nerwowo wyprostował się. Tamten przypatrywał mu się uważnie i długo, wreszcie twardo powiedział:

— Na apelu ma mi nikogo nie brakować, a jak co, to ty będziesz odpowiadać, już ja cię wtedy oporządzę, zobaczysz.

I ogarnąwszy powolnem spojrzeniem stojących dokoła dodał:

— Nie radziłbym nikomu zwracać się wyżej.

Nadolny cieszył się szczególnem zaufaniem block-fuehrera, Kreutzmana. Wiedziano zresztą, że capo Schreder nigdy nie cofał zarządzeń swego podwładnego. Wszelkie odruchy niezadowolenia starannie ukrywał i tylko bardziej spostrzegawczy i długo przebywający w obozie więźniowie zdawali sobie sprawę, co ten człowiek, na zewnątrz służbista jak inni, istotnie myślał i odczuwał. Był dobrze zbudowany, miał silną i muskularną rękę mechanika, którym był w Hannowerze za czasów swojej wolności, lecz gdy bił, uderzenia jego były łagodniejsze od uderzeń innych dozorców, nigdy też nio zdarzało się, aby capo z premedytacją uderzał w specjalnie wrażliwe na ból części ciała. Można też było zauważyć, że Schreder rzadko kiedy bił, gdy był sam. Najsurowszym okazywał się prawie z reguły w obecności swego unter-capo albo block-fuehrera Kreutzmanna.

Tak więc ponieważ sprawę wziął w swoje ręce Nadolny, do apelu stanąć musiał i umierający doktór. Magister Pawłowski, rozstrzęsiony i rozkrzyczany, osobiście dopilnował, aby rozkaz unter-capa był sumiennie wykonany. Przed opuszczeniem sztuby Nadolny zdążył jeszcze skontrolować siennik, na którym spali Karbowski i profesor. Wprawdzie posłanie przyschło, ale pozostała na niem zdradziecka, wielka, żółta plama. Nadolny z miejsca zwrócił się do Stasią.

— To ty?

I nie czekając na odpowiedź uderzył chłopca w twarz. Profesor dusząc się kaszlem, chciał coś powiedzieć, ale Nadolny odsunął go na bok ramieniem i nie spuszczając ze Stasia swoich jasnych, prawie przeźroczystych oczu, powiedział:

— Od dzisiaj, ty będziesz odpowiadał za siennik, rozumiesz?

Staś milczał, ciągle wyprostowany na baczność i chociaż wiedział, że unter-capo nie lubi, gdy patrzy mu się zbyt długo w oczy, nie odrywał spojrzenia od tej chmurnej twarzy tak blisko ku niemu pochylonej, iż czuł na wargach ciepły, nikotyną przesycony oddech tamtego. — Uderzy mnie zaraz — pomyślał. Było mu wszystko jedno. I nawet nie drgnął, gdy tępy ból przeszył mu głowę od lewego ucha aż po głąb czaszki. Pociemniało mu tylko w oczach i nagle ogarnął go gęsty, prawie bezgłośny szum.

— Rozumiesz? — powtórzył Nadolny, przysuwając się jeszcze bliżej.

— Tak — odpowiedział Staś, pokonywując wysiłek, na jaki musiał się zdobyć, aby otworzyć usta i z głębi tego szumu wydźwignąć swój głos.

— Zadowolony jesteś?

— Tak — powtórzył Staś ciszej i niewyraźnie, ledwie siebie słysząc.

Oprzytomniał dopiero wówczas, kiedy znalazł się na dworze w mglistem, chłodnem powietrzu ranka i gdy doczekawszy się swojej kolejki przy pompie, począł oblewać się zimną wodą.

Biały, oślepiający blask reflektorów jak zawsze nadawał obozowi wygląd ogromnego filmowego atelier, gdzie wśród dziwacznych, jakby z mrocznego snu przeniesionych dekoracji, plączą się tłumy statystów, przygotowujących się do odegrania jakiejś wielkiej sceny zbiorowej cierpienia i buntu. Na środku placu stała wczorajsza estrada. Osamotniona wśród pustego obszaru, pomiędzy rzędami ceglastych bloków, wyglądała bardzo drobna i krucha.

Odchodząc od pompy, Staś natknął się na profesora, który stał nieco z boku, skulony w przykrótkim drelichu, dygocący z zimna i z kaszlu. Zamierzał go ominąć, gdy tamten uczynił ręką niepewny ruch. Przystanął więc. Widać było, że profesor ma coś do powiedzenia, lecz kaszel nie pozwala mu przyjść do słowa. Trwało to dosyć długo. Tymczasem wielu więźniów zdążyło się już umyć i koło kuchni poczynał gromadzić się tłum. Wydawano śniadanie. Na koniec profesor przycichł, podniósł na towarzysza swoje śmiertelnie znużone oczy chorego człowieka i wyszeptał:

— To przeze mnie....

I chwycił Stasia za rękę:

— Niech mi pan wybaczy.

Znowu począł kaszlać. Naraz wzdłuż cienkiego drelichu jego spodni spłynęło na ziemię dużo mokrego, pomiędzy nogami stojącego utworzyła się kałużka.

— Tak — bąknął Staś, spoglądając w stronę kuchni — to się samo przez się rozumie, tutaj nikt nikomu nie ma nic do wybaczenia, wszystko jest, jak jest.

— Nie, nie — zaprzeczył słabo profesor — dopiero tutaj potrzebuje się przebaczenia.

Dokoła kuchni ciemniał tłok. Nagle Staś zwrócił się ku profesorowi i powiedział z twardym akcentem, którego nie chciał:

— Może, ale nie trzeba o tem mówić, to jest albo tego niema.

Profesor pochylił głowę i patrzył w ziemię. Z jego spodni skapywały ostatnie krople. Wtem z powrotem podniósł ku chłopcu oczy nagle odmienione, rozjaśnione żarliwem pragnieniem życia.

— Mnie zwolnią niedługo — szepnął rzeźwiejszym głosem — przyjdzie zwolnienie, na pewno, czuję to...

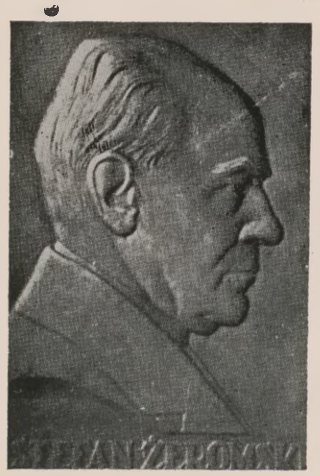
Rzeczywiście coś tak wyglądało, że profesorowi przypadnie w losie ta niezwykła wygrana. Na razie otrzymał wygraną mniejszą. Oto, gdy po apelu, według codziennego porządku formować się poczęły drużyny robocze, profesora zwolniono niespodziewanie z obsługi, ciągnącej maszynę do walcowania, a przydzielono go do pracy lżejszej, polegającej na rozwalaniu kilkunastu domków na przedmieściach miasteczka. Domy te psuły komendantowi obozu piękny widok z okien jego mieszkania, zostały więc przed kilku dniami opróżnione z dotychczasowych mieszkańców i przeznaczone na rozbiórkę. Praca była właśnie w toku i miała w obozie opinję nienajgorszej, ponieważ odbywała się pod częściową osłoną dachów i murów, a dozorujący capo należał do mniej bezwzględnych i okrutnych.

(Dalszy ciąg nastąpi)

CZAS
ODNOWIC
PRENUMERATĘ

ZŁOTE KARTY POLSKIEGO PIŚMIENNICTWA

Stefan Żeromski: "SYZYFOWE PRACE" (Lekcja polskiego)



Stefan Żeromski

Na początku trzeciego kwartału, po przyjeździe ze świąt Bożego Narodzenia, uczniowie klasy siódmej zastali nowego kolegę. Był nim Bernard Sieger, wydalony z tejże klasy któregoś gimnazjum w Warszawie. Nikt z klerykowian nie miał wiadomości autentycznych, za co właściwie Sieger był ze stolicy raz na zawsze wypędzony, a do Klerykowa przyjęty. Chodziły tylko niezdecydowane pogłoski, że to "ptaszek". Z czasem dopiero jeden z ośmioklasistów, któremu zdarzyło się być podczas świąt w Warszawie, oświetlił nieco sprawę, rozgłaszając, że tajemniczy przybysz wyrzucony został za "niebłagonadiożnost'". Do Klerykowa, według tejże relacji, udało mu się wstąpić za specjanem zezwoleniem kuratora okręgu naukowego, który znowu miał dać takie zezwolenie dzięki wstawiennictwu jednej ze znakomitych figur wielkiego świata.

W nowej szkole Sieger natychmiast otoczony został szczególniejszą opieką. Mieszkał sam jeden u pana Kostriulewa i poza murami szkoły nie miał prawa stykać się z kolegami. W gimnazjum pilnowano go również w sposób, nie zostawiający nic do życzenia. Codziennie ktoś upoważniony — a więc pan Majewski, inspektor, dyrektor, Mieszoczkin — rewidował jego tornister, wszyscy udzielali mu admonicyj surowszych, niż innym, a do wydawania lekcyj powoływano go bezustanku. Bernard Sieger miał lat osiemnaście lub dziewiętnaście, był wzrostu średniego, krępy, nieco ospowaty. Rysy twarzy miał wyraziste, nos duży, oczy barwy nieokreślonej, jak woda. Oczy te patrzały spokojnie, ale ze szczególną uwagą. Sieger nigdy nie zdradzał strachu lub złości, gdy go niepokojono, gdy mu rozkazującym tonem czegoś "surowo zabraniano". Na twarzy jego malował się stale pewien wyraz, który możnaby chyba ochrzcić mianem — uprzejmej drwiny.

Głowacze klasy siódmej już po kilku lekcjach spostrzegli, że Sieger wszystko "kapuje". Robił przykłady matematyczne niezbyt lotnie, ale bystro tłumaczył "Disputationes tusculanae" Cycerona powoli, ale samoistnie, pisał ćwiczenia literackie i "logiczne" na cztery — słowem, był to dobry uczeń.

Buckle'iści z krótkiego dyskursu przed nabożeństwem w pewien dzień galowy, kiedy pilnowacze zajęci byli malcami i nie przeszkadzali rozmawiać, dowiedzieli się, że nowy nie tylko czytał Buckle'a i Drapera, ale posłyszeli z ust jego pytanie o dzieła, jakich ani oko klerykowskie nie widziało, ani ucho nie słyszało. Sieger żył całkiem samotnie. Wprost z klasy szedł do mieszkania. Na spacer, na łyżwy, po sprawunki — tylko z cerberem Kostriulewem. Autochtonowie klasy siódmej obserwowali go z uwagą, ciekawością, a nie bez odrobiny niechęci i zawiści. Już samo to, że Sieger przybył z Warszawy, gniewało wszystkich, którzy za obrębem Klerykowa nic nie znali. Uprzejmą grzeczność jego poczytywano za wyniosłość i arystokratyzm, ironiczne milczenie, gdy uczeni sławiści roztaczali w czasie pauz swe wiadomości — za nieuctwo w tym kierunku wiedzy człowieczej.

Pewne trudności miał Sieger z uczęszczaniem na lekcje języka polskiego. Zrazu władza wzbraniała mu wstępu na wykłady prof. Sztettera i dopiero po upływie miesiąca dała swe zezwolenie.

Tego dnia lekcja języka "miejscowego" była ostatnia zrzędu, a więc przypadła między godziną drugą a trzecią. Sztetter wszedł do klasy, jak zwykle, z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłumaczenie z języka polskiego na rosyjskie wiersza Czajkowskiego p. t. "Pająk".

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się po rosyjsku):

— Panie profesorze, mamy nowego ucznia.

— Nowy kolega, z Warszawy uczeń... — błaznowali inni.

— Nowy uczeń? — spytał Sztetter ze zdziwieniem. — Gdzie ,jaki uczeń?

Sieger wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— A... — mruknął Sztetter. — Wasza familja?

— Zygier — rzekł nowy uczeń.

Nauczyciel zaczął szukać tej, familji w spisie abecadłowym pod literą Z — i nie znalazł.

— Mówisz pan...

— Tak. W papierach i w metryce stało Sieger, jak pisał się mój dziad i ojciec, dlatego prawdopodobnie zanotowano pod S. Ja nazywam się Bernard Zygier, *Zet, y, gier*...

Nauczyciel spojrzał na nowego ucznia i smutne oczy jego zajaśniały przez chwilę nikłym promyczkiem wesela.

— Niech będzie Zygier... — powiedział. — Chcesz pan uczęszczać na lekcje języka polskiego?

— Rozumie się! Przecież to nasz język ojczysty... (Wied' eto nasz rodnoj jazyk...).

Sztetter obejrzał szybkim lotem drzwi oszklone, tego ucznia, dziennik i poruszył wargami, jak gdyby mówił jakieś słowo, czego przecie nikt nie dosłyszał. Po chwiii rzekł:

— No... czytaj pan!

Zygier wziął książkę, ułożoną przez prof. Wierzbowskiego, i zaczął czytać wskazany urywek. Koledzy jego, widząc, że prezentacja skończona i że rozpoczynają się zwykłe "nudy narodowe", wzięli się do odrabiania lekcyj, do jawnego czytania rzeczy postronnych, albo wprost układali się jakotako do drzemki Niektórzy, lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w "Pająka". Inni oglądali ściany powleczone sinym kolorem, szerokie brunatne lamperje, żółty stoliczek katedry czarną tablicę, szyby zasłonięte parą... Tymczasem Zygier odczytał i przetłumaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i rozbierał po polsku. Sztetter, oparty ramieniem na krześle dźwigał zwieszoną głowę, i bębniąc w stół palcami, spod oka przyglądał się Zygierowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, celownik, imiesłowy odmienne i t. d. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia, ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygier złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcił je w palcach i myślał o czemś głęboko.

— Dosyć... — rzekł wreszcie. — Mam panu stawiać stopień. Ale jaki? Cóż ja panu postawię? Ja nie mam... na to... stopnia, panie Zygier.

Mówiąc tak, przyglądał się nowemu uczniowi i wracał do niego oczami kilkakroć, jakby ich nie był w stanie zdjąć z tej twarzy. Zygier stał w ławce, mierząc Sztettera swem uważnem i spokojnem spojrzeniem.

— Proszę mi powiedzieć, — rzekł jeszcze nauczyciel, — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć rozmaitych rzeczy.

— Z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie, okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika — no i jakież to tam okresy?

— Czytaliśmy utwory wieku złotego dosyć pobieżnie, zato romantyków szczegółowo.

— Któżto... my? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc we drzwi.

— To tam w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza?

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakiż utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? "Trzecia część"... "Improwizacja", "Pan Tadeusz", "Księgi pielgrzymstwa"...

Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze!

— No, a cóż pan wiesz o Mickiewiczu?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek promienistych, filomatów i filaretów, aresztowanie, uwięzienia i deportację. Wprost od tych szczegółów najniespodzianiej zjechał z Wilna do Warszawy i już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy zwrócony, jął wyborną i bardzo piękną ruszczyzną, z chwalebnem uniknięciem "polonizmów", plastycznie malować napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada.

Oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan może co napamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mówić głosem nie donośnym, ale dźwięcznym, jak szlachetny metal:

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo...

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygier nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem nauczyciel siadł na swem krześle, podparł głowę rękami i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza. Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego "wiersze polskie". Ten mówił równo, ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach, wewnętrzną gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych cezurach. wymykała się między sylabami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju rozwierał się przed oczyma słuchaczów — i nagle mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna mocy twej urąga!
Podnosi na cię rękę...

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy "Figa" Walecki wylazł ze swej ławki, zbliżył się do drzwi, wspiął na palce i spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarżenie uczniaka polskiego, zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny utwór, własna mowa. Każdy obraz walki dawno przegranej wydzierał się z ust mówcy, jako pragnienie uczestnictwa w tem dziele zgubionem. Uczucia dziecięce i młodzieńcze, po miljonkroć znieważane, leciały teraz między słuchaczy w kształtach słów poety. pękały wśród nich, jak granaty, świszczały, niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej. Jedni słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zliżyli się do mówcy. Borowicz siedział zgarbiony, podparłszy pięścią brodę, i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło go przemierzłe złudzenie, że on to wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś jakby własnem okiem widział, ale nie mógł pojąć co będzie dalej — i słuchał ze wstrętem i złościa, ale z dreszczem dziwnego bólu w piersiach. Wtem Zygier zaczął mówić:

Nakoniec bez rozwagi, bez czucia pamięci,
Zołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi — na oko...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko —
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona
I puścił ją i upadł... Nim dobiją, skona...

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Ten sam, zabity nahajami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem. Serce Marcina szarpnęło się nagle, jakby chciało wydrzeć się z piersi, ciałem jego potrząsało wewnętrzne łkanie. Scisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie wytrzyma, że skona z żalu. Sztetter siedział na swem miejscu wyprostowany. Powieki jego były, jak zwykle, przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wymykała się spod nich łza i płynęła po bladej twarzy.

IRENA LORENTOWICZ

"STWORZYŁEM SWOJE DZIEŁO TYLEŻ, ILE ONO MNIE STWORZYŁO"

Sirkę pamiętam od zawsze — odkąd tylko umiałam pamiętać. I był taki sam w mojej pamięci od początku: siwowłosy, z bródką, różowy i zawsze bardzo wesoły.

Jedne z pierwszych książek dziecińśtwa — zaraz po "W Pustyni i w Puszczy" — były "Na Kresach Lasów" Sieroszewskiego i "W Kraju Jakutów" i "Latorośle".

Dwie egzaltowane przyjaciółki, ogromnie cienkie w pasie, uczesane w nioby i obie malarki ze Szkoły Sztuk Pięknych, wyszły zamąż za dwóch pisarzy: jedna za Sieroszewskiego, druga za Lorentowicza. I umarły tej wojny, niemal jednocześnie w Warszawie...

A on, Sirko, należał do tych, którzy, zdawałoby się, nigdy nie umrą, jak Solski, aktor genjalny i wiecznie młody. Zywot fenomenalny Sieroszewskiego jest najciekawszym i najbardziej przejmującym jego utworem. Wiąże się z nim najściślej jego twórczość. O życiu tem pisał szczegółowo Jan Lorentowicz w swojej książce "Spojrzenie wstecz", i na tych wspomnieniach oprę się, opisując te, jakże polskie!, a jakże, dla każdego cudzoziemca, — niezwykłe dzieje.

Nie tylko w Ameryce droga tak zwanej "karjery", droga, którą wspina się powoli człowiek ku najwyższym szczeblom, bywa nadspodziewanie łatwa i szybka. U nas, dwa talenty literackie zmarłego pokolenia wielkich pisarzy chlubnie tę drogę odbyły. Od biednego czeladnika krawieckiego do Nagrody Nobla — przeskok wydaje się być olbrzymi. A jednak tak było z Władysławem Reymontem. Wacław Sieroszewski zaś ów "Sirko", terminował w młodości, początkowo, jako ślusarz, a potem jako drobny robotnik na kolejach. Należał wówczas do tajnych robotniczych kółek samokształceniowych i na tym terenie spotkał się z pierwszymi bojownikami socjalizmu polskiego. Aresztowany w 1878 roku, napisał w więzieniu, w sławnym "Dziesiątym Pawilonie" Cytadeli Warszawskiej, swój pierwszy utwór — wiersz rewolucyjny... Było to już sześćdziesiąt siedem lat temu.

Dzieje polskiego męczeństwa — powtarzające się nieustannie i wzrastające do coraz straszliwszych i coraz szerzej sięgających zniszczeń — dają nam jakiś uśmiech bolesnej pobłażliwości przy wspominaniu przeszłości. Czemże było bowiem owo carskie więzienie wobec "Pawiaka" dzisiejszej niewoli! Wzburzeni więźniowie, z Sirkiem na czele, kiedy im się coś niepodobało, rozbijali stoły i stołki, łamali łóżka żelazne, rozwalali piece... A sam Sieroszewski rzucił się, w zapale, na komendanta Cytadeli, generała Ulricha, wyrwał ramę okienną i uderzył generała w rękę.

I tu zaczyna się droga na Sybir, opisana później przez niego, i wygnańcze lata, dzięki którym, być może, stał się artystą, pisarzem

Czyja to jest stara grawiura, gdzie na śniegu — na jakimś tam postoju, głęboko w Rosji — spotykaja się dwa pokolenia zesłańców: ojciec — z 1831 roku, i syn — sześćdziesiątych-trzecich lat? Tak sobie wyobrażałam zawsze Sirkę, kiedy czytałam jego "Ciupasem na Sybir". "Ostatni etap, tysiąc kilometrów, odbywali skazańcy pieszo, wśród mrozu i śnieżnych zawiei" — jak dziś, jak ciągle jeszcze... Nieprzerwana historja mimowolnych "Robinzonów" polskich, siłą zepchniętych na dno nędzy i upodlenia, z którego nie ma już dla nich powrotu do swoich, do pracy dla swoich. Oderwana tragedja jednostki, wyrzuconej poza społeczeństwo cywilizowane, przestaje być czemś najważniejszem wobec ciężkiej niedoli tubylców. którzy stają się ich braćmi.

Zwolniony z katorgi, skazany został Sieroszewski na wieczne osiedlenie w najdalszych miejscowościach wschodniej Syberji, gdzie w miesiącach zimowych słońce wcale nie wschodzi. Tam, pod biegunem, Sieroszewski, wśród innych zesłańców, zaczął się kształcić, czytać, pracować nad sobą. Ale go zesłano na samotność jeszcze dalej, gdzie na mieszkanie otrzymał "lodowaty grób — ciemną jurtę jakucką". W rozpaczy i osamotnieniu zaczął Sieroszewski pisać, "siedząc u płonącego ogniska". Z braku papieru, pisał na marginesach starych gazet, na tabliczkach drewnianych, na korze, na błonie rybnej, używając atramentu własnej fabrykacji.

W 1894 roku ukazała się w Polsce powieść nieznanego pisarza, Wacława Sirki, pod tytułem "Na kresach lasów". Krytykę olśniły jedne z najpiękniejszych w naszej literaturze, wspaniałe opisy przyrody, północnosyberyjskie krajobrazy. Ustna legenda ustaliła wkrótce nazwisko autora i jego dzieje.

Na dalekiem zesłaniu napisał Sieroszewski "Chajłacha", "Jesienią" i "Skradzionego chłopca". Po latach, dzięki staraniom, złagodzono mu karę, pozwalając osiedlić się w nieco łagodniejszym klimacie syberyjskim, gdzie Sirko z zapałem oddał się rolnictwu, wieczorami zaś w dalszym ciągu pisał. Udaje mu się w końcu przenieść do Irkucka i tu poświęcić się pracy naukowej, której wyniki opublikowane zostały przez rosyjskie Towarzystwo Geograficzne. Dzięki



Wacław Sieroszewski jako prezes Akademji Literatury wręcza nagrodę młodych Jerzemu Andrzejewskiemu, który otrzymał ją za świetną powieść p. t. "Ład serca". Stoją od lewej Jerzy Andrzejewski, Kazimierz Wierzyński, Kornel Makuszyński, Wacław Sieroszewski.

tej pracy o życiu Jakutów, Sieroszewski zyskuje sławę i dostaje pozwolenie na powrót do Polski. Po piętnastu latach zesłania wraca Sieroszewski do kraju już jako znany pisarz.

Zesłanie umocniło jego dzielną postawę wobec losu. Groźne piękno przyrody polarnej dało mu radość życia. Najgorsze warunki bytowania obudziły w nim artystę. Wrócił jako autor wielu już książek, opartych na jedynych w swoim rodzaju przeżyciach osobistych. Potrafił nie załamać się i zaczerpnąć jakieś niekończące się zapasy pogody niezmąconej i radości niemal dziecięcej — u źródeł swego artyzmu — dzikiego piękna natury polarnej. Takiego poznała go owa cienka panna, młoda malarka, z którą się ożenił. Ale niedługo musiał porzucić dom rodzinny.

W 1900 roku zamykają go znowu w Cytadeli, jako zamieszanego do "zbrodni" uroczystości patrjotycznej, zorganizowanej dookoła pomnika Mickiewicza, i posadzonego o autorstwo płomiennej proklamacji, która kursowała po Warszawie z tej okazji. Autorami tej proklamacji byli, w rzeczywistości, Józef Piłsudski i Stanisław Wojciechowski, aresztowano jednak wtedy Żeromskiego i Sieroszewskiego. Sieroszewski udaje się uniknąć ponownego zesłania na Syberję, ale wędruje on, pod przymusem, po Japonji, Chinach, Mandżurji. Jego podróże to — niekończący się łańcuch nowych przeżyć, nowych natchnień literackich.

Po powrocie do kraju bierze naturalnie udział w rewolucji 1905 roku — wszędzie musiał być tam, gdzie była walka... W roku 1910 wyjechał do Paryża, gdzie pisał i ćwiczył się do przyszłej służby żołnierskiej w paryskiej sekcji Związku Strzeleckiego. Niezłomny entuzjasta, wierzył, że jeszcze zostanie żołnierzem wolnej Polski. I w roku 1914 stał się Legjonistą w drugiej kompanji kadrowej,



W r. 1927 Polski Klub Literacki wydał obiad na cześć swego honorowego członka, Wacława Sieroszewskiego. Na zebranie po obiedzie przybył Marszałek Piłsudski. Siedzą: Anna Słonczyńska, Wacław Sieroszewski, marszałek Józef Piłsudski, Bronisława Neufeldówna, Wacławowa Sieroszewska, minister Jędrzej Moraczewski. Stoją: Kazimierz Wierzyński, Wacław Rogowicz, gen. Gustaw Orlicz-Dreszer, Andrzej Strug, dyrektor Jan Skotnicki, major Anatol Bielski, pułk. Kordjan Zamorski, Ryszard Ordyński, Mieczysław Treter, Władysław Zawistowski, Juljusz Kaden-Bandrowski, Juljan Tuwim, Arnold Szyfman, Jan Lechoń, Ferdynand Goetel, Kazimierz Wroczyński, Stefanja Zahorska, Jerzy Szwajcer (Jotes) Herminja Stycz-Naglerowa, Barbara Wrzoskówna, minister Tadeusz Grabowski, Bernard Szarlitt, Władysław i Stanisław Sieroszewscy, Wacław Grubiński, Zygmunt Kisielewski, Józef Kotarbiński.

walczył we wszystkich pierwszych bitwach zrazu jako piechur, a potem jako ułan Beliny — ułan już ...pięćdziesięcioletni. Jego miłość dla Piłsudskiego nie miała granic.

"Piętnaście lat, spędzonych poza kulturą na wgłębianiu się w tęsknoty własne i cudze, na obcowaniu z życiem pierwotnem — odsunęły Sieroszewskiego od skomplikowanych przejawów psychiki, którą znalazł w Ojczyźnie. Szuka wokół siebie ludzi, ulepionych z jednej bryły, do jedynego dążących celu, prostych a niezłomnych, przepełnionych do dna swojego jestestwa ideałem. Jeden wzbudził w nim podziw nad podziwy, więc mu poświęcił najpłomienniejszą swoją książke: "Józef Piłsudski". Po roku pobytu na froncie Komendant kieruje Sirkę do prac politycznych, a po odzyskaniu niepodległości Sieroszewski wraca do literatury, staje na czele Związku Zawodowego Literatów, a potem wybrany zostaje pierwszym Prezesem Akademji Literatury.

Aż do chwili utraty towarzyszki życia nic nie potrafiło go złamać. Przeżył bombardowanie,nędzę, głód... Pomagał literatom, organizował rozmaite pomoce, biegał, żywy i pełen wiary, po ulicach Warszawy. Znajomi omijali go z lękiem, gdyż dzielny staruszek, na nic i na nikogo nie zważając, głośno wymyślał na Niemców. I jakoś ocalał. Po śmierci żony przygasł, zdawał sobie sprawę, że wszyscy ze starego pokolenia odchodzą, że może i jemu czas, mimo jego wiecznej młodości, wiecznej wiary w wolność!

I umarł w niewoli...

JULJUSZ STARZYŃSKI

D R Z E W A

I pomyśleć, że przeszło od roku nie mogłem
dotknąć drzew!

Sosna miłosna
i dostojna buczyna,
wierzba rzewna kochanka,
i zszarzała leszczyna,
dęby zmarszczone
jak stuletnie słonie,
i wiotkie płatki młodych brzóz,
i w niebo strzelająca
wysmukła topola,
i wybujały gdzieś na łące
klon, co samotnie wzrósł...

Dziś woła mnie po nocach wasz żałosny poszum,
Ramiona wyciągnięte, rozwarte konary,
Uśmiech co dziecię trwożne ukołysał do snu,
Jak zmierzch pełen litości,
Jak zmierzch bajki starej.

Takbym się gubił w waszych gąszczach,
Na pnącza głodne dłonie kładł,
Palcami wodził po listowiu,
Łowiąc pieszczoty zmarłej ślad!
Nienasycony, chłonąc wonie,
Takbym tę cierpką słodycz pił,
Westchnieniem śpiewnem, rozmodleniem,
Jak nagły wiew, jak srebrny pył...

Łowy gwiazd szybkoskrzydłych
I śmigłych po niebie księżyców —
W obłok dźwięczny tęsknota ukryła swe lica!

O krajobrazy — O lata — O drzewa —
Jak szczęście zawsze daleko —
O drzewa stron rodzinnych!

Poprzez ziemię pęczniejąc
Tym samym w żyłach sokiem,
Jak błękit niedosiężne
I jak błękit wysokie,
W rzewnej trosce się chylą,
Cichym szeptem kołyszą.

Wspomnień zielonych gorzki balsam,
Miody żywiczne, woń igliwia,
Kiedyż pieszczoty Waszej zaznam,
Co ze snu budzi i ożywia?
Koro, bronzowa, koro czarna,
Koro pęknięta aż do rdzenia,
Jak ja, samotna i niezdarna,
Jak ja, niezdatna do istnienia...

Wieczny niepokój sok wysącza
I miąższ wydziera się do słońca!...

Rytmem siekier stalowych
Wpędzony w ciemny ostęp,
Czyż zapomniałem waszej mowy,
Czyż zagubiłem słowa proste?

Czyj cień spowije nasze głowy,
Komu girlandy nowe spleciesz?
Czuję jak pada dąb ojcowy,
Co gwarzył klechdy na odwieczerz...

Murnau, kwiecień 1941 r.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

PODPUŁKOWNIK PETER DEWEY



W czasie napadu Annamitów na główną kwaterę amerykańską w Saigonie zginął już po zawarciu pokoju 26 września, podpułkownik A. Peter Dewey, jeden z najprawdziwszych żołnierzy tej wojny, który walczył jeszcze w r. 1940 za Polskę i Francję i padł z bronią w ręku, gdy już wojny nie było.

Ten młody człowiek, ten młody chłopiec, możnaby powiedzieć, gdyż miał on w chwili śmierci zaledwie 24 lata pozostanie nazawsze pięknym przykładem dla amerykańskiej młodzieży jako ten, który z własnej woli poszedł na wojnę, kiedy była ona jeszcze bardzo daleko od Ameryki, który dopominał się o najtrudniejsze zadania i świetnie je wypełniał.

Ale imię młodego Deweya należy nietylko do jego kraju. Zostanie też ono nazawsze na kartach przyjaźni polsko-amerykańskiej jako symbol jej najpiękniejszych tradycji, jako wzór Amerykanina, który wiedział co to jest Polska i gotów był oddać za nią życie.

Powiernik tych uczuć młodego bohatera dla naszego kraju, świadek jego wzruszających usiłowań, aby sprawie polskiej czem mógł, się przysłużyć, piszący te słowa, chciałby przekazać imię podpułkownika Deweya, wdzięcznej pamięci Polaków, na którą poległy tak bardzo zasłużył.

Syn doradcy finansowego rządu R. P. Charlesa Dewey'a, Peter Dewey spędził dzieciństwo w Warszawie i stamtąd wyniósł wspomnienia i wzruszenia, które nigdy się w nim nie zatarły. Znalazłszy się w Paryżu w początkach wojny, jako członek redakcji paryskiej Chicago Daily News, młody Dewey, był jednym z pierwszych Amerykanów, którzy postanowili czynem powiedzieć po czyjej są stronie.

Pamiętny Warszawy, pełen podziwu dla tego co we wrześniu dokonała, młody Peter zabiega o pomoc sanitarną dla armji polskiej, puszcza w tym celu w ruch swoje amerykańskie stosunki, czeka niecierpliwie na chwilę gdy będzie mógł znaleźć się w polskich szeregach na froncie.

W tym właśnie czasie i w tych sprawach zjawił się u mnie w Ambasadzie z listem Ambasadora Laroche'a i to było początkiem znajomości, która mi odkryła w tym drobnym niepozornym chłopcu charakter wyjątkowy i niezwykłą intelektualną kulturę.

Okazało się, że Peter Dewey ma piękne i usprawiedliwione ambicje literackie, że ma dane aby pisać. To też kiedy wyszedł z druku, niestety już przed samą inwazją Francji, numer redagowanej przezemnie "Tribune des Peuples" obok rzeczy polskich oraz prac Mauriaca, Claudela, Daniela Halevy, Gregoire'a i Edgara Mowrera zawierał również poważne i rzeczowe uwagi Peter Dewey'a o Mickiewiczu i Emersonie. Egzemplarza "Tribunes des Peuples" już młody autor nie mógł zobaczyć. Mówiłem mu o nim dopiero w Bordeaux gdy w gorączce katastrofy, spotkałem go przypadkowo, umęczonego nieludzko, z wielką brodą, od tygodni niegoloną, towarzyszącego naszemu wojsku w jego walkach i szczęśliwego z tej okazji, o którą tak wytrwale zabiegał. "Jutro generał Sikorski ma mi dać polski order" mówił mi z dumą.

Ten order był pierwszem odznaczeniem bojowem młodego Dewey'a na jego bohaterskiej drodze, która wiodła go poprzez wszystkie fronty Europy i Azji do śmierci chwalebnej, kończącej najdłuższą służbę tej wojny, służbę dobrowolną o wolność Ameryki, Polski i Francji.

Przyjaźń polsko-amerykańska, sprawa polska potrzebuje takich jak życie Peter Dewey'a przykładów. Niechżeż jego imię będzie znane, niech jego życie będzie wzorem i nauką, niech budzi cześć polską, zawstydzenie tych, którzy chcą o Polsce zapomnieć, zastanowienie tych, którzy myślą, że można żyć w wolności, nie walcząc o nią. (jl)

KONGRES POLONJI W OBRONIE POLAKÓW

Na wiadomość, że amerykańskie władze wojskowe w Niemczech przymuszają internowanych Polaków do wyjazdu do Polski i że w wielu wypadkach Polaków, szczególnie tych z kresów wschodnich, wbrew ich woli klasyfikują jako obywateli rosyjskich, w imieniu Kongresu prezes Rozmarek wysłał apel do Sekretarza Stanu James F. Byrnes'a.

Ponadto Prezes Rozmarek w imieniu Kongresu Polonji wysłał do rządu angielskiego na ręce Ambasadora Halifaxa ostry protest przeciw skazaniu przez sąd angielski w Niemczech czterech Polaków na śmierć a czterdziestu czterech na ciężkie więzienie.

PREZES JÓZEF ONKA MARSZAŁKIEM TEGOROCZNEJ PARADY PUŁASKIEGO

Dzielny prezes Józef Onka, będzie w tym roku marszałkiem parady Pułaskiego. Odezwa, którą z tego powodu wydał do Polonji jest jasna i wyraźna. Tegoroczna parada ma być manifestacją, wołającą o sprawiedliwość i o wolność dla Polski, ma być rewją sił Polonji, która cała stoi murem przy prawdziwych amerykańskich ideałach i żąda, aby przyszłość Polski o nie była oparta.

10-LECIE ARCHIWUM I MUZEUM ZJEDNOCZENIE P. R. K. W CHICAGO

Archiwum i Muzeum Zjednoczenia P. R. K. obchodzić będzie dziesiątą rocznicę istnienia w niedzielę, 7-go października b. r.

Program uroczystości przewiduje roczne zebranie członków Polskiego Towarzystwa Historyczno-Muzealnego, istniejącego przy Muzeum. Przemówienia wygłoszą Konsul Gen. Polski, Dr. Juljusz Szygowski, oraz Jan J. Olejniczak, Prezes Zjednoczenia P. R. K. Głównym punktem programu będzie odsłonięcie nowej wystawy kostjumów Heleny Modrzejewskiej z dramatu "Marja Stuart"; aktu odsłonięcia dokona Red. Antoni Czarnecki z Chicago Daily News, ofiarodawca tych cennych pamiątek. Suknie Modrzejewskiej upozowane są na lalkach, do których głowy wykonał sławny twórca masek, Władysław Benda.

Archiwum i Muzeum Zjednoczenia zostało powołane do życia uchwałą Zarządu Głównego Zjednoczenia P. R. K. z dnia 15 października 1935, na wniosek ówczesnego Prezesa, Józefa L. Kani.

Dnia 12go stycznia 1937 otwarty został uroczyście pierwszy lokal mu-

zealny. W r. 1939 Zjednoczenie oddało dodatkowe piętro swego obszernego Domu na użytek Muzeum.

Większość bogatych zbiorów Muzeum pochodzi z darów. Z dobrowolnych ofiar Muzeum zebrało w ciągu tych 10 lat przeszło $27,000. Około 60,000 osób przeszło już przez sale muzealne.

W 10-letnim swym dorobku Muzeum ma za sobą szereg wystaw tymczasowych, kilkadziesiąt prelekcji, oraz 11 własnych wydawnictw z dziedziny historji Polonji. Ostatniem z nich jest praca Dra A. S. Wolanina "Polonica in English", która właśnie opuściła prasę.

15-LECIE ZAŁOŻENIA ORGANIZACJI ZAWODOWEJ KUPIECTWA POLSKIEGO W DETROIT

Kupiectwo polskie w Detroit i okolicy obchodziło w dniu 23 września 15-lecie powołania do życia pierwszej na terenie tutejszym organizacji zawodowej. Z tej też okazji odbył się w Domu Polskim przy Forest i Chene Zjazd 1 Federacji Kupiectwa Polskiego.

Sesje Zjazdu poprzedziło nabożeństwo w kościele św. Jacka, celebrowane na intencję pomyślnych obrad przez J. E. Ks. Biskupa Woźnickiego.

W przeddzień Zjazdu, odbył się również Bal Jubileuszowy w Domu Polskim, który cieszył się ogromnem powodzeniem.

DELEGACI RADY POLONJI AMERYKAŃSKIEJ WYJEŻDŻAJĄ DO POLSKI

Na ostatniem posiedzeniu Zarządu Polonji Amerykańskiej p. Prezes F. X. Swietlik zobrazował dokładnie biedę i nędzę panujące pomiędzy Uchodźcami i jeńcami polskimi w Europie zachodniej. Przedstawił również dyrekcji konieczną potrzebę wysłania specjalnej delegacji z łona Zarządu Rady do Polski. Dyrekcja jednozgodnie przyjęła propozycję, wybierając czterech delegatów, dla których niezwłocznie poczyniono starania w Departamencie Stanu o paszporty. Są już pewne dane, że delegaci Rady Polonji Amerykańskiej wyjadą do Polski w niedługim czasie.

CZY MOŻNA SPROWADZIĆ POLAKÓW Z AMERYKI

Żołnierze polscy oraz uchodźcy wojenni przebywający obecnie w Anglji, we Francji, we Włoszech i na Bliskim Wschodzie, nie mogąc w obecnych warunkach wracać do Polski, nadsyłają coraz liczniej do organizacji polskich prośby o wystaranie się dla nich o wizy wjazdowe do Ameryki i o affidavity, na podstawie których te wizy otrzymać mogą.

Aby przyjść im z pomocą, przedstawiciel biura Kongresu Polonji w Waszyngtonie odbył ostatnio szereg konferencji z naszymi kongresmanami oraz z wyższymi urzędnikami w Departamencie Stanu, w Departamencie Sprawiedliwości, w Wydziale Imigracyjnym i w Wydziale Wizowym.

Z informacji otrzymanych podczas tych konferencyj wynika, że: — kwota polska na rok bieżący 1945-46 wynosi 6,524. Znaczy to że taka liczba obywateli polskich może otrzymać wizy imigracyjne na wjazd do Stanów Zjednoczonych, poczynając od 1-go lipca, b. r., a kończąc na 30-ym czerwca przyszłego roku. Kwota ta nie akumuluje się, t. zn. nie obowiązuje wstecz. Kwota polska przewidziana na rok bieżący nie jest jeszcze wyczerpana, gdyż w każdym miesiącu wydaje się zaledwie 10 procent ogólnej liczby wiz dla obywateli polskich pragnących przybyć do Ameryki.

Zasadniczych zmian w całej procedurze i w staraniach o wizy wjazdowe nie ma.

Obywatel polski zamieszkujący obecnie w Anglji, we Francji, we Włoszech lub gdzieindziej, który pragnie otrzymać wizę wjazdową do Ameryki, powinien zgłosić się do Konsulatu Amerykańskiego w miejscu jego zamieszkania i tam złożyć podanie o wizę.

Powinien on również wystarać się od swych przyjaciół, znajomych, krewnych lub od jakiej organizacji mającej zasoby finansowe o t. zw. afidawit. Afidawit ten może być dla niego wystawiony również przez organizacje, chociaż niektórzy konsulowie amerykańscy wolą afidawity od osób prywatnych.

Powyższe informacje dotyczą osób, które objęte są kwotą imigracyjną. Jest jednak cały szereg zawodów i profesji, które nie są objęte kwotą, które przeto na wizę imigracyjną czekać w kolejce nie potrzebują, gdyż mogą dostać wizę zaraz po otrzymaniu afidawitu od swych organizacyj w Ameryce.

Do tej kategorji wchodzą duchowni wszystkich wyznań, profesorowie uniwersytetów, kolegjów, akademji i seminarjów oraz ich żony i dzieci poniżej lat 18-tu — o ile naturalnie dzieci są w samotnym stanie. Do tej kategorji również wchodzą studenci powyżej lat 15-tu, którzy pragną uczyć się w szkołach amerykańskich.

OPINJE I ZDARZENIA

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Konferencja ministrów spraw zagranicznych t. z. Wielkiej Piątki, obradująca w Londynie, prędzej niż można było z początku przypuszczać, znalazła się w ślepym zaułku i, jak dotąd, bez powodzenia szuka wyjścia z sytuacji, z której wycofać się bardzo trudno. W Londynie, jak się okazuje, na co zresztą, już na tem miejscu, przed trzema tygodniami, zwrócona została uwaga, ostre przesilenie wywołane było nietylko przez olbrzymią rozbieżność interesów, jawnie już występującą między mocarstwami anglo-saskiemi a Związkiem Sowieckim, ale w niemałej mierze kryzys jest wynikiem całkiem odmiennego pojmowania zasad, całkiem różnego rozumienia pojęć, zdawałoby się jasnych i dokładnie określonych przez naukę i doświadczenie. Przytem, do pogłębienia kryzysu w Londynie przyczynia się. w stopniu niemałym, dążenie Rosji Sowieckiej do utrzymania w swych rękach grupy krajów-satelitów, opanowanych przez rząd moskiewski i terytorjalnie rozlokowanych w całej wschodniej i środkowej Europie, z Polską pośrodku. Mocarstwa anglosaskie, papierane przez Francję z konieczności, muszą dla utrzymania politycznej i gospodarczej równowagi, planować formowanie kontr-bloku, obejmującego zachodnie kraje europejskie. Mołotow, sowiecki delegat na konferencję londyńską, zabiega ze wszystkich sił, aby do bloku zachodnio - europejskiego, podpieranego przez Stany Zjednoczone, nie dopuścić, ale wysila się jednocześnie, aby sowiecki blok wschodnio-i środkowoeuropejski utrzymać, a nawet rozszerzyć.

W tych warunkach, konferencja londyńska nie może znaleźć rozwiązań, pomimo iż ze strony amerykańskiej a poniekąd i brytyjskiej, wciąż ujawnia się wola "porozumienia", to jest ustępstw. Napór jednak sowiecki jest tak silny, polityczna bezceremonjalność Mołotowa na tyle rażąca, żądania rosyjskie tak duże, że metoda "porozumienia" stosować się prawie nie daje. W wyniku tych wszystkich okoliczności i rozbieżności, konferencja londyńska, celem której miało być ułożenie podstaw pod pokój, narazie, w Europie, ujawnia całkowite rozbicie, niemożność ułożenia podstawowych warunków nieco trwalszego pokoju w krajach starego kontynentu.

W ciężkiem położeniu znajduje się zwłaszcza delegacja brytyjska. Pożądania sowieckie, wysuwane w Londynie, a zmierzającą do rozszerzenia i utrwalenie sowieckiej sfery wpływów na Bałkanach, Węgrzech, w Austrji, — sprawa Niemiec narazie jest całkiem pomijana; wypłynie później i. niechybnie, ujawni również niedające się pogodzić rozbieżności pomiędzy Rosją Sowiecką a mocarstwami anglo-saskiemi — pożądania, otóż, sowieckie, zagrażają najżywotniejszym interesom politycznym i gospodarczym Wielkiej Brytanji i ustępstwa czynione być mogą, przedewszystkiem, kosztem brytyjskim. Stąd też wynikają wielkie podrażenienia brytyjskie, za wyraz których może służyć sensacyjny wywiad, udzielony przez brytyjskiego szefa sztabu międzyaljanckiego w Washingtonie, feldmarszałka Wilsona. Wywiad ten, znany z wielkich pism amerykańskich, wywołał olbrzymią sensację w międzynarodowych kołach politycznych, nietylko ze względu na treść antysowiecką ale również i z powodu wysokiego stanowiska, zajmowanego w międzyaljanckiej hierarchji militarnej przez marsz. Wilsona.

Do pogłębienia poważnych antagonizmów bryto-sowieckich przyczyniło się, niewątpliwie, zawarcie umowy gospodarczej węgiersko-sowieckiej, oddającej najważniejsze dziedziny produkcyjne Węgier pod kontrolę sowiecką i umożliwiającej eksploatowanie tych dziedzin na rzecz Związku Sowieckiego. Umowa ta została zawar- Brytanji, poza plecami międzyaljan- Brytanji, po za plecami międzyaljanckiej komisji kontrolnej ,niby sprawującej władzę na Węgrzech. Jeszcze jeden to dowód bezsilności amerykańsko-brytyjskiej w krajach, militarnie okupowanych przez Rosję Sowiecką i jeszcze jeden przykład złej woli rosyjskiej, nieliczącej się z umowami, o ile jest to potrzebne dla realizacji celów sowieckiego imperjalizmu.

Na politycznem niebie Francji ukazały się pierwsze przebłyski. Dotychczas znany wynik wyborów komunalnych i departamentalnych Rad Generalnych, wskazuje, że fale zalewu komunistycznego, dotąd zagrażające demokracji francuskiej, zostały powstrzymane. Walne zwycięstwo odnieśli, jak dotąd, socjaliści francuscy oraz nowe ugrupowanie chrześcijańsko-socjalne również przeciwstawiające się zbolszewizowaniu życia publicznego Francji. Wynik dotychczasowy wyborów francuskich wskazuje, że na zachodzie europejskim proces otrzeźwienia politycznego mas ludowych czyni postępy.

———

ŻYMIERSKI MA CZOŁO TWIERDZIĆ, ŻE NIE BYŁO POLSKIEGO LOTNICTWA W TEJ WOJNIE

Zymierski, z ramienia Rosji "marszałek Polski" i "wódz naczelny armji polskiej" w rozkazie dziennym do tej armji wydanym w dn. 29 sierpnia, powiedział nimniej niwięcej:

"Cztery lata lotnictwo polskie było bezczynne . . . 1 września 1943 ruszył na front sformowany na ziemi radzieckiej pierwszy pułk lotnictwa myśliwskiego "Warszawa" zalążek odrodzonych polskich sił lotniczych".

Czytając to przecieramy oczy. Nie mieliśmy nigdy złudzeń co do tego kim jest Zymierski, uważaliśmy zawsze nominację jego za zniewagę niesplamionych sztandarów armji polskiej. Ale nie myśleliśmy, — że sługa Rosji —będzie Zymierski służył jej aż takie mi środkami, które napewno wzburzyły każdego prawdziwego Polaka, mającego nieszczęście służyć w owej niewolniczej armji. I to pod takie rozkazy wzywa pan Mikołajczyk polskich żołnierzy wolności, i to pod takim wodzem godzą się służyć zaślepieni generałowie Paszkiewicz, Prugar i Ujejski.

"OTAWA" BEATY OBERTYŃSKIEJ



Wyszedł w Palestynie tom poezji Beaty Obertyńskiej p. t. "Otawa", zawierający wybór wierszy z różnych okresów twórczości autorki. Beata Obertyńska, córka znanej poetki lwowskiej Maryli Wolskiej ma w naszej poezji własne oblicze. Jej świat fantastyczny, świat zieleni, woni lasu i tajemniczych świateł, zbliżony nieco do świata Leśmiana, wypowiada się wierszem zarazem doskonałym, jędrnym i oryginalnym. "Otawa" pięknie te wartości przypomina i sumuje.

———

ŚLUB JANA KARSKIEGO

Jan Karski, oficer Armji Krajowej, który był łącznikiem między Polską podziemną a Rządem w Londynie, i który z prawdziwym bohaterstwem wykonał swą służbę autor znakomitej książki "Story of the Secret State" poślubił dnia 11 sierpnia w Waszyngtonie p. Izabellę Escalante, córkę ambasadora Wenezueli w Waszyngtonie Dr. Diogenesa Escalante.

"Tygodnik Polski" przesyła Janowi Karskiemu najgorętsze życzenia tak bardzo zasłużonego szczęścia.

LISTY DO REDAKCJI

Nowy York, 4 września

Szanowny Panie Redaktorze:

W związku z zamieszczoną w poczytnem piśmie Pańskiem notatką "Pan Bitner odmieniony", proszę uprzejmie zamieścić następujące sprostowanie:

1. Nie jest prawdą, że odemnie wyszedł projekt likwidacji Polskiej Katolickiej Agencji Prasowej, natomiast prawdą jest, że bronię KAP'a przed gwałtowną likwidacją i natychmiastowem zamknięciem, czego odemnie się domagają niektórzy dotychczasowi zwolennicy KAP'a, pragnąc na to miejsce powołać spółkę amerykańsko-polską. Nie sądzę bowiem, że jakakolwiek Agencja nawet Amerykańska mogłaby zastąpić placówkę, kierowaną przez Polaków i broniąca z całą znajomością rzeczy interesów polskich.

2. W tym właśnie celu uzyskałem w Londynie środki dla dalszego prowadzenia KAP'a, lecz w trakcie moich tam wysiłków postarano się poza memi plecami o usunięcie mnie z kierownictwa i zastąpienie bezprawnie przez inną osobę (fałszywe donosy, które się do tego przyczyniły mam na piśmie).

3. Gdy zaś wróciłem do New Yorku posiadając pełnomocnictwa do dalszego prowadzenia KAP'a, zażądano odemnie natychmiastowego zamknięcia KAP'a od 1-go września, przekazania jego funduszów i urządzenia zaprojektowanej bez porozumienia ze mną nowej agencji. Nie mając prawa darowania majątku KAP'a, odmówiłem. Wówczas rozszerzono pogłoski o wyrzeczeniu się przezemnie "lubej Ojczyzny i miłej wolności" i rozpoczęto akcję o uznanie mnie za renegata w sprawie Polski.

W związku z powyższem oświadczam, ze nadal stoję na stanowisku obrony Niepodległości Polski i Wolności Narodu, jak również nie wyrzekłem się moich poglądów chrześcijańskich i demokratycznych.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy poważania

Wacław Bitner.

Sprawy, które pan Bittner porusza w swym liście wyjaśnia oświadczenie wybitnych duchownych, uczonych i działaczy społecznych, wchodzących w skład Rady KAP Oświadczenie to uważamy za najbardziej miarodajne i ostatecznie zamykające sprawę.

OŚWIADCZENIE CZŁONKÓW RADY KATOLICKIEJ AGENCJI PRASOWEJ W NEWYORKU

Niżej podpisani członkowie Rady Polskiej Katolickiej Agencji Prasowej (KAP) w New Yorku składają następujące oświadczenie:

P. Wacław Bitner, kierownik oddziału KAP w New Yorku, powołując się na pełnomocnictwa, otrzymane od Ks. Prał. Z. Kaczyńskiego, w dalszym ciągu wydaje komunikaty KAP a wbrew życzeniom Biskupów Polskich zagranicą oraz Rady KAP a stwierdzamy niniejszem, że poczynając od dnia 1 września br., nie ponosimy żadnej odpowiedzialności za dalszą działalność KAP-a w New Yorku.

Celem Polskiej Katolickiej Agencji Prasowej w New Yorku było zaznajamianie opinii amerykańskiej z faktami i zagadnieniami życia religijnego, społecznego i moralno-politycznego Europy, a w szczególności Polski. W swej działalności informacyjnej i publicystycznej Polska Katolicka Agencja Prasowa była niezależna od wpływów politycznych i kierowała się jedynie nakazem obrony zasad chrześcijańskich i wolności Narodu Polskiego przed wszelkiemi formami gwałtu i przemocy. W działalności naszej kierowaliśmy się głównie wskazówkami natury religijnej, udzielanymi przez przedstawicieli Episkopatu Polskiego zagranicą.

Wobec jawnej niemożności Episkopatu Polskiego w Kraju publicznego wypowiadania swych opinii oraz wobec wyjazdu do Warszawy naczelnego dyrektora KAP-a, Ks. Prał. Z Kaczyńskiego, Rada KAP-a w New Yorku stanęła przed wyborem: bądź prowadzić KAP-a po dotychczasowej linji bezkompromisowej obrony pełnej niepodległści Polski i wolności religijnej w Posce, co nieuchronnie musiałoby narazić Episkopat Polski w Kraju na represje, bądź zamknąć agencję w przekonaniu, że jej dotychczasowe zadania podjęte zostaną przez Przewielebne Duchowieństwo oraz katolickie organizacje polsko-amerykańskie.

Ponieważ p. Wacław Bitner wbrew naszym zaleceniom w dalszym ciągu wydaje biuletyn informacyjny KAP-a, uważamy za konieczne podać do publicznej wiadomości, że dzieje się to wbrew naszej jasno wyrażonej woli i że za działalność KAP-a w New Yorku po dniu 31 sierpnia br. nie ponosimy żadnej odpowiedzialności. Równocześnie stwierdzamy, że mandaty swoje w Radzie KAP w New Yorku uważamy za wygasłe.

N. O. Wawrzyniec Cyman, O. Jerzy Roskwitalski, Sylwin Strakacz, Prof. Jan Kucharzewski, Prof. Oskar Halecki, J. Junosza Podoski, Stanisław Strzetelski.

STATEMENT OF THE OWNERSHIP MANAGEMENT, CIRCULATION, ETC.,

Required by the Acts of Congress of August 24, 1912, and March 3, 1933

Of TYGODNIK POLSKI — Polish Weekly published weekly at 806 Lexington Avenue, New York 21, N. Y. for Oct. 1 1945, State of New York, County of New York.

Before me, a Notary Public in and for the State and county aforesaid, personally appeared Jan Lechoń Serafinowicz, who, having been duly sworn according to law, deposes and says that he is the editor-owner of the Tygodnik Polski — Polish Weekly, and that the following is, to the best of his knowledge and belief, a true statement of the ownership, management etc., of the aforesaid publication for the date shown in the above caption, required by the Act of August 24, 1912, as amended by the Act of March 3, 1933, embodied in section 537, Postal Laws and Regulations, printed on the reverse of this form, to wit:

1. That the names and addresses of the publisher, editor, managing editor, and business managers are:

Publisher: Tygodnik Polski — Polish Weekly, 806 Lexington Ave., N. Y. 21, N. Y.

Editor: Jan Lechoń Serafinowicz, 10 East 67th Street, N. Y. 21, N. Y.

Business Manager: Dr. Leopold Obierek, 414 East 66th Street, N. Y. 21, N. Y.

2. That the owner is: (If owned by a corporation, its name and address must be stated and also immediately thereunder the names and addresses of stockholders owning or holding on per cent or more of total amount of stock. If not owned by a corporation, the names and addresses of the individual owners must be given. If owned by a firm, company, or other unincorporated concern, its nam and address, as well as those of each individual mmber, must be given.)

Jan Lechoń Serafinowicz, 10 East 67th Street, N. Y., 21, N. Y.

3 That the known bondholders, mortgagees, and other security holders owning or holding 1 per cent or more of total amount of bonds, mortgages, or other securities are: (if there are none, so state):

None.

4. That the two paragraphs next above giving the names of the owners, stockholders, and security holdrs, if any, contain not only the list of stockhoders and security holders as they appear upon the books of the company but also, in cases where the stockholder or scurity holder oppears upon the books of the company as trustee or in any other fiduciary relation, the name of the person or corporation for whom such trustee is acting, is given: also that said two paragraphs contain statements embracing affiant's ful knowledge and belief as to the circumstances and conditions under which stockholders and security holdsre who do not appear upon the books of the company as trustees, hold stock and securities in a capacity other than that of a bona fide owner; and this affiant has no reason to believe that any other person, association or corporation has any interest direct or indirect in the said stock, bonds or other securities than as so stated by him.

5. That the average number of copies of each issue of this publication sold or distributed, through the mails or otherwise, to paid subscribers during the twelve months preceding the date shown above is .... (This information is required from daily publications only.)

Jan Lechoń Serafinowicz, Owner-Editor.

Sworn to and subscribed before me this 5th day of September 1945:

Arthur Wassner

Notary Public, New York County Clerks No. 51, New York County Registers No. 207-8 7, Commission expires March 30, 1947.